



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: „MANIA WIELKOŚCI”

Przeciętnemu bywalcowi sal kinowych nazwisko Gérarda Oury mówi niewiele albo zgoła nic. Natomiast prawie wszystkim znane są jego filmy. Któż z nas nie zaśmiewał się do łez na „Gamoniu”, „Wielkiej włóczędzie”, „Mózgu” - komediach skrzących się dowcipem pełnych doskonałych gagów, opromienionych na dodatek nazwiskami wielkich komików: Louisa de Funésa i Bourvila? Pewnie, że Oury nie stanowi gwiazdy pierwszej jasności na firmamencie sztuki filmowej, że jego humor nie jest zbyt finezyjny i trudno byłoby się doszukiwać w jego komediach głębi intelektualnych, ale też reżyserowi wcale nie chodzi o tego rodzaju wartości. Czerpiąc nierzadko inspirację ze słynnej burleski amerykańskiej, stara się zapewnić publiczności przede wszystkim dwie godziny wesołej, beztrudnej zabawy. A że jest przy tym świetnym znawcą warsztatu filmowego, że jak mało który z reżyserów potrafi utrzymać wartość akcji i atmosferę napięcia, zadanie jakie sobie postawił - niewymuszony śmiech na widowni - w pełni mu się udaje.

Kiedy zarzucano mu, że w czasie realizacji swoich filmów nie liczy się z pieniędzmi, że jego filmy pochłaniają ogromne sumy, co odbija się niekorzystnie na innych gałęziach sztuki filmowej, Oury odpowiedział po prostu: *Nudzi mnie ciągle przypominanie, ile to milionów kosztują moje filmy. Podobno uniemożliwiam przez to innym robienie filmów. A przecież każdy z moich filmów przynosi dziesięć razy tyle, ile kosztuje. Może więc raczej żywię francuską kinematografię? Zresztą chodzi o coś innego: o formułę filmu, który „musi się podobać”. Troszczę się przede wszystkim o to, aby film podobał się publiczności, nie zaś aby jak najmniejszym wysiłkiem wyciągnąć jak najwięcej korzyści.* Chyba nie byłoby krzywdzące nazwanie Oury’ego wysokiej klasy artystą-rzemieślnikiem, pracującym rzetelnie, z poświęceniem i wypuszczającym ze swego warsztatu produkt szlachetnej jakości.

Tak też jest z jego „Manią wielkości”, filmem, który ostatnio pojawił się na polskich ekranach. Jak poprzednie, tak również i ta komedia realizowana była z myślą o sukcesie kasowym. Tym razem jednak reżyser zrezygnował ze współczesnej scenerii, w której rozgrywała się większość jego filmów i przeniósł się... na dwór hiszpański w okresie baroku. Tam więc, w słynnych wnętrzach Eskurialu, na dziedzińcach Alhambry w Grenadzie rozgrywają się niesamowite przygody okrutnego ministra, intryganta i obłudnika Don Salluste

(Louis de Funés) i jego kutego na cztery kopyta sługi Blaze'a (Yves Montand), osobnika niezbyt wartościowego, ale nie pozbawionego jednak cech szlachetności.

Czegóż nie nagromadzono tutaj dla uciechy widza: wspaniałe hiszpańskie pejzaże i gorące piaski afrykańskiej pustyni, piękne senory i seniority, konne galopady jakby żywcem przeniesione z amerykańskich westernów, pojedynki na białą broń i tęskne romance śpiewane pod oknami szlachetnie urodzonych kochanek. A wszystko skąpane w morzu humoru. Louis de Funés jak zwykle zdumiewa ekspresją i żywiołowością, Yves Montand - sprawdza się raz jeszcze jako aktor komediowy, operując oszczędnie środkami wyrazu i stanowiąc doskonałe tło dla swojego „wulkanicznego” pana. Zakończenie filmu nie przynosi spodziewanego w takich wypadkach happy-endu i to trzeba dodatkowo zapisać na korzyść reżysera. Zresztą o tym zdecydować musi ostatecznie sam widz.

Wielbicielom twórczości Victora Hugo nasuną się w czasie oglądania „Manii wielkości” skojarzenia z romantyczną tragedią „Ruy Blas” wielkiego pisarza. Nic dziwnego: „Mania wielkości” jest doskonale zrobionym, komediowym pastiszem tego dzieła, a pomysł takiej transpozycji zrodził się w umyśle Oury’ego jeszcze wiele lat temu, kiedy jako młody aktor grał małą rolę w teatralnym przedstawieniu „Ruy Blasa”. Pomysł ten zrealizował wprawdzie dopiero osiągnąwszy pięćdziesiątkę i może lepiej się stało, że miał już wówczas za sobą szereg nakręconych filmów i wiele doświadczenia, pasje młodości bowiem najlepiej weryfikuje wiek dojrzały.

Pierwodruk: „Kamena”, 1974, nr 15, s. 14.